Rok 3. WARSZAWA — LISTOPAD 1927 r. Nr 16

SPORT WODNY

CZASOPISMO, POŚWIĘCONE SPRAWOM

WIOŚLARSTWA, ŻEGLARSTWA i PŁYWACTWA.

ZWYCIĘSKA PROPAGANDA.

Mówimy: najlepszą propagandą tężyzny fizycznej poszczególnych narodów — są odnoszone w sporcie zwycięstwa. Zwycięstwa, do których wytrwałym wysiłkiem dopracować się musi organizm fizyczny i psychika zawodnika. Zwycięstwa, imię których tysiąc drutów telegraficznych roznosi w szybkiem mgnieniu chwili na cały świat, a miljony oczu i ust rozbrzmiewają ich imieniem. Zwycięstwa, od których głodne oczy widzów zamierają w zachwycie, a wszystkie pisma świata w kształt czcionek zamykają głośny poklask sławy.

Cokolwiek mówią o ujemnych stronach konkurencyj sportowych, o wygórowanych ambicjach, o niezdrowym przeroście zainteresowań dla sportu ku szkodzie intelektualnych dążeń, cokolwiek mówią o dzwonkach alarmowych pseudo-amatoryzmu, przesadzie, rujnującej zdrowie i wypaczającej psychikę, wszystko to jest tylko obawą chwili, nieznającej umiaru, wszystko jest drobnym, przejściowym fragmentem ułomności człowieka wobec nieprzemijającego, potężnego piękna walki w sporcie.

Coraz liczniejsza dziś rodzina zwolenników sportu pięknu temu hołduje w pierwszym rzędzie. Do zwycięstw sportowych przywiązuje wagę olbrzymią, słusznie uważając je poza wszystkiem innem za najwspanialszy środek propagandy ćwiczeń fizycznych, mających przenikać do mas, mających skutkować realizację idei odrodzenia fizycznego.

Ponadto—powiedzmy sobie otwarcie — odnoszone zwycięstwa dziwnie krzepią i nawołują do tem usilniejszej pracy. Możnaby dlatego bez najmniejszego ryzyka nieprawdy powiedzieć, że jedno zwycięstwo rodzi zwycięstwo dalsze, dodaje otuchy, pobudza ambicję pracy. Bezsprzecznie tedy, zwycięstwo będąc samo w sobie absolutnym czynnikiem sławy i rozgłosu, jest ponadto czynnikiem twórczym przyszłości.

Rozpisaliśmy się na temat znaczenia zwycięstw sportowych jedynie dlatego, że od szeregu dni prasa polska i zagraniczna codzień notuje — dla nas tak bardzo drogie—zwycięstwa jeźdźców polskich w Ameryce. Zwycięstwa te są istotnie ponad wszelką przeciętną miarę. Z całą pewnością twierdzić możemy, że od czasu wprowadzenia w życie nowoczesnych konkursów hippicznych, reprezentacja żadnego państwa nie odnosiła zwycięstw tak druzgocących, tak stałych i systematycznych, jak jeźdźcy nasi podczas odbywających się konkursów w Ameryce. Dzień każdy przynosi nowe wiadomości o naszych sukcesach, a jednogłośna opinja świata zgodnie wyznacza hippice polskiej przodujące miejsce na terenie międzynarodowym.

Jeśli zwycięstwa jeźdźców naszych odbiły się szerokiem echem we wszystkich krajach cywilizowanych, tem głębszy — jesteśmy pewni — znajdą one oddźwięk w kraju. Dzięki tym zwycięstwom zagranica inaczej patrzeć będzie na naszych reprezentantów w walkach olimpijskich na stadjonie amsterdarskim. W państwowe godła Polski przybrani sportowcy nie będą dla cudzoziemskich widzów nieznanymi zawodnikami. Zwycięstwa hippiczne polskich oficerów każdemu uprzytomnią tężyznę fizyczną i sprawność sportową naszych młodzieńców. Miarą zwycięstw hippicznych mierzony sport polski — dać będzie musiał z siebie maximum swych możliwości, zdobyć miejsca honorowe.

W tym właśnie punkcie leży olbrzymia doniosłość zwycięstw hippicznych dla wewnętrznego—że się tak wyrazimy—rynku sportowego. Niezawodnie spowodują one żywsze tętno pracy, silniejszą wolę zdobycia, mocniejszą ambicję dopracowania się do wysokiego poziomu wyników. Niewątpliwie — z drugiej znów strony — sława naszych jeźdźców przyczyni się popularyzacji sportu wśród szerokich mas młodzieży. We Francji każdy mały chłopak ugania się na rowerze z myślą o laurach Pélissierów, skacze wzwyż wpatrzony w zwycięską sylwetkę Lewdena. W Polsce w każdej szkole spotykamy kilkunastoletnich wyrostków, biegających z chustką w zębach na długie dystanse, z myślą o dorównaniu Freyerowi. Trenujący do igrzysk amsterdamskich atleci nasi—mają przed oczyma wspaniały do naśladowania wzór i zwycięstwa jeźdźców.

Niejeden chciałby tu może powiedzieć: Ba! Kawalerja polska zawsze słynęła ze wspaniałej jazdy. Ma w sobie jedną z najwspanialszych w Europie tradycyj. Polak ma wrodzony w tym kierunku talent, nie trudno więc o zwycięstwa w tej dziedzinie.

Odpowiemy na to: tak, to wszystko prawda. Ale zapytajcie naszych zwycięzców, ile wysiłków, ile trudów, ile systematycznej pracy wkładają w sport hippiczny, niezależnie od talentu. Każdy z nich odpowie nam niezawodnie naszemi słowami: największy nawet talent sportowy nie wyda rezultatów na skalę międzynarodową, jeśli poparty nie będzie żmudną, wytrwałą pracą. Ta praca stanowi jedyną drogę do zwycięstw prowadzącą.

W okresie ostatnich naszych przygotowań olimpijskich nadzieje nasze opieramy przedewszystkiem na systematycznym wysiłku, w drugim rzędzie dopiero — na talentach.

WIOŚLARSTWO PRZED OLIMPJADĄ.

Wchodzimy w okres Olimpijski. Choć od Amsterdamu dzieli nas jeszcze 8 miesięcy, pracę nad przygotowaniem naszych olimpijczyków już rozpoczęto.

Pojedziemy do Amsterdamu nie poto tylko, by uczestniczyć w igrzyskach, ale i po zwycięstwo!

Polski Związek Towarzystw Wioślarskich przez poważne traktowanie przygotowania przedolimpijskiego wykazuje raz jeszcze, że stoi pod względem organizacyjnym na czele naszych związków.

Wioślarstwo polskie na Olimpjadzie będzie reprezentowane, według wszelkiego prawdopodobieństwa w trzech konkurencjach: obstawiać zamierzamy bieg ósemek, czwórek ze sternikiem, oraz jedynek. Pozostałych biegów P. Z. T. W. obsyłać nie zamierza.

W Warszawie, Bydgoszczy i Poznaniu będą utworzone grupy olimpijskie.

Trening prowadzony będzie przez zainteresowane kluby pod nadzorem P. Z. T. W.

W kwestji, czy osady reprezentacyjne mają być z wioślarzy jednego klubu, czy też mieszane, pozostawiono wolną rękę klubom danego ośrodka.

Pożądanej centralizacji wszystkich „olimpijczyków" w jednem miejscu, nie da się przeprowadzić ze względu na zajęcia zawodowe kandydatów. Natomiast przed samą Olimpjadą osady zakwalifikowane do wyjazdu będą zgrupowane w obozie przedolimpijskim.

Powodem dotychczasowych niepowodzeń naszych osad w spotkaniach z zagranicą było zawsze:

a) zły dobór osady, pod względem kwalifikacyj fizycznych; b) słaba kondycja fizyczna wywołana brakiem treningu zimowego; c) nieodpowiedni tabor; d) brak rutyny.

By przyczyny te usunąć a zarazem poznać możliwości treningowe naszych Towarzystw, P. Z. T W. rozesłało 2 kwestjonarjusze—klubowy i personalny.

W kwestjonarjuszu klubowym znajdujemy pytania dotyczące: trenera klubowego, warunków treningowych (basen zimowy wioślarski, metody treningu zimowego i na wodzie i t. d.). Dalsze pytania dotyczą rodzaju osad, jakie klub zamierza wystawić do zawodów eliminacyjnych, oraz taboru (rodzaj, używalność).

Jednocześnie opracowano przepisy, którym muszą odpowiadać osady olimpijskie.

Wagę minimalną określono: dla jedynki — 65 kg., czwórki—280 kg.; ósemki—590 kg., licząc bez sternika.

Kluby zgłaszając osadę wielowiosłową muszą podać ilość wioślarzy równą podwójnej ilości zawodników.

Zarządzenie to ma na celu jaknajlepszy dobór kandydatów oraz zapewnienie ciągłości treningu.

Ostatni przepis, że w składzie osady musi być minimum 50% senjorów, a maximum 25% nowicjuszy, jest również zupełnie słuszny, gdyż rutyna w wioślarstwie jest stokroć ważniejszą niż w jakimkolwiek innym sporcie.

Załamanie się psychiczne jednego wioślarza podczas biegu, decyduje często o klęsce całej osady.

Kwestjonarjusz personalny, wraz z wynikami badań lekarskich, pozwoli zorjentować się w materjale naszych olimpijczyków.

Prócz szeregu pytań tyczących się kwalifikacyj fizycznych i wioślarskich, znajdujemy pytania tyczące się warunków życiowych kandydata i jego możności treningowych.

Kluby, których osady będą trenować do Olimpjady, otrzymywać będą pomoc finansową, aby mogły dać wioślarzom możliwie najkorzystniejsze warunki do treningu. (Między innemi prowadzona będzie akcja dożywiania).

Tak wygląda plan pracy przedolimpijskiej opracowany przez P. Z. T. W.

Jeśli go równie sumiennie wcielimy w czyn, to może już Amsterdam będzie świadkiem naszego zwycięstwa.

T.



Pan Dr. Kopczyński, naczelny wizytator higjeny szkolnej i wychowania fiz. zwiedza w towarzystwie delegatów Kuratorjum O. Sz. Pomorskiego, p. Świderskiego, naczelnika wydziału i p. D-ra Ciosłowskiego, wizytatora higjeny szkolnej przystań państw. gimnazjum w Kościerzynie, wybudowaną w lesie sosnowym, nad jeziorem Garczyńskiem przez dyrektora Jana Kontka, który dzięki poparciu Ministerstwa W. R. i O. P. oraz społeczeństwa kościerskiego uruchomił sport wodny, budzący wielki zapał wśród uczniów gimnazjum.

OLIMPIJSKI TOR REGATOWY.

Międzynarodowy Związek Towarzystw Wioślarskich na kongresie, odbytym dnia 19 sierpnia b. r. w Como zatwierdził na wniosek Holenderskiego Związku Tow. Wiośl. wybór terenu na olimpijskie regaty wioślarskie. Wybór po długich dyskusjach oraz rozważaniach padł na Kanał Gloten, którzy Holendrzy nazywają „Ringvaart van de Haarlemmermeer bij Sloten".

Decyzja ta jednak nie należała do zbyt łatwych, gdyż wybierać trzeba było pomiędzy trzema torami, z których każdy miał naturalnie, swe dodatnie i ujemne strony.

Przedewszystkiem brany był pod uwagę kanał północnomorski, który należy do najbardziej imponujących torów. Jest on zupełnie prosty, długi na 2000 mtr., a tak szeroki, że pięć łodzi może startować jednocześnie. Ma on jednak jedną kolosalną wadę, która dla celów regatowych czyni go zupełnie nieprzydatnym: wiatr, który wszak w Holandji do rzadkości nie należy. Przy północno-zachodnim wietrze zwyciężają zawsze osady od brzegu północnego, przy południowo-zachodnim — te które jadą przy południowym brzegu. O równości więc szans startujących osad mowy być nie może, a ta wada kanału jest tak rażąca, że regaty o mistrzostwo Holandji, które urządzono pewnego roku na tym torze — musiały być przerwane i dokończone na innym kanale. Wreszcie — czego w żadnym razie nie mogli pominąć organizatorzy—ruch handlowych statków na kanale jest wielki, zatrzymać go na pewien dłuższy okres czasu jest wprost niemożliwością, a bez tego o przeprowadzeniu wielkich regat olimpijskich mowy być nie mogło.

A więc północnomorski kanał odpadł. Pozostały jeszcze dwa tory, z których pierwszy na rzece Amstel przedstawiał wiele dogodności, lecz jeszcze więcej wad. Coprawda rzeka ta przepływa przez środek Amsterdamu, ma po obu stronach wspaniałe bulwary, skąd swobodnie obserwować można przebieg zawodów. Tutaj koncentruje się całe życie wioślarskie stolicy Holandji, tutaj stoją przystanie klubowe, i wszystkie wielkie zawody wioślarskie tradycyjnie odbywają się na tym torze. Lecz przedewszystkiem tor ten nie jest prosty, ma dwa zakręty, zaś start znajduje się na otwartem miejscu, gdzie wiatr wyprawia swe figle. Po drugie na jakieś dwieście metrów przed celownikiem jest most, pod którego łukiem zaledwie jedna łódź przejechać może, a przytem na tym torze startować może zaledwie trzy łodzie ze sternikiem, bez sternika tylko dwie. Jeśli więc weźmiemy pod uwagę, że cztery konkurencje olimpijskie rozgrywane są bez sternika, to przyjść musimy do przekonania, że przy tych warunkach tor regatowy na Amstel nie może zadośćuczynić wymaganiom toru olimpijskiego.

A więc pozostał tor trzeci — Kanał Sloten, na którym zatrzymano się w wyborze. Kanał ten jest zupełnie prosty, długi na 2000 mtr., zupełnie bez prądu przy minimalnym wpływie wiatru. Z obydwuch stron kanału idą dobrze utrzymane szosy, po których jadąc autem lub rowerem można obserwować bieg od startu do mety. Tor ten jednak ma też swoje wady. Przedewszystkiem więc ma on zaledwie 35 mtr. szerokości, wskutek tego tylko dwie łodzie mogą startować, a co za tem idzie musi być rozgrywane całe mnóstwo przedbiegów. Po drugie — tor jest nieco oddalony od Amsterdamu. Meta odległa jest od miasta o 6 klm., lecz coprawda dojazd nie jest trudny, gdyż z centrum miasta można do niej dojechać w jakieś 20 minut autobusem.

Tor ten jest w Holandji bardzo lubiany i uczęszczany. Meta znajduje się obok typowej pięknej i charakterystycznej wioski holenderskiej, w pobliżu której w czasie regat olimpijskich urządzone zostaną szałasy na łodzie i garderoby dla zawodników. Tutaj odbywają się rok rocznie regaty wioślarskie o mistrzostwo Holandji, a czasy notowane na tej wodzie wynoszą: dwójki ze sternikiem 7 m. 50 sek., skiffy — 7 m. 30 sek., czwórki ze sternikiem — 6 m. 45 sek., ósemki — 6 m. 10 sek.

Jest ogólne zdanie, że holenderski związek oraz F. I. S. A. zrobiły dobry wybór. Przedewszystkiem dlatego, że na tym torze szanse wszystkich osad są znakomicie wyrównane. Ani wiatr, ani znajomość toru nie wpłynie na rezultat, a niedogodność startowania po dwie osady, a przez to możność odpadnięcia przed finałem nawet silnej osady, która miała nieszczęście trafić na przyszłego mistrza — usunięta ma być drogą zaprowadzenia biegów t. zw. repechage. W rezultacie tego systemu będziemy mieli oznaczone zupełnie dokładnie cztery miejsca w każdym biegu, co przy ogólnej klasyfikacji olimpijskiej ma duże znaczenie.

M. R.



Jola, Yacht-Klubu Polski, konstrukcji A. Aleksandrowicza.

Fot. E. Jabłoński.

ROLA CIĘŻARU WIOŚLARZA.

Jedną z zasadniczych prac początkowych w treningu osady jest odpowiednie dobranie i usadzenie wioślarzy. Rzecz dotyczy w pierwszym rzędzie wzrostu i wagi wioślarza, w drugim rzędzie specjalnych zdolności danej jednostki. Naogół biorąc zasada przekazana całemu światu przez ojczyznę wioślarstwa—Anglję—wskazywała na ludzi wysokich i ciężkich, jako najodpowiedniejszych do wiosła. Zasadę tę stosowano aż do przesady, zwłaszcza o ile chodziło o ciężar wioślarza. Naogół przeważnie siła idzie w parze z ciężką wagą. Im cięższy wioślarz tem silniejszy, a co zatem idzie zdolniejszy do wielkiego wysiłku, jakim jest bezwątpienia wioślarstwo. Tymczasem jednak stara zasada zaczęła zawodzić w praktyce. Sami Anglicy zarzucili już nacisk na wagę, utrzymując się jednak przy wzroście, także i Niemcy, którzy uważają się za najlepszych wioślarzy całego świata, zaczynają z ołówkiem w ręku rachować, czy zasada wagi jest słuszną. I okazało się, że nie bardzo. Okazało się, że obecne pierwszoklasowe osady są lżejsze o 10 — 20 kg. od osad z przed kilku lat. Mimo to wioślarstwo niemieckie nie cofnęło się w swym rozwoju, lecz postąpiło naprzód. Przyczyna tego leży w postępie techniki, na którą wszędzie zaczyna się kłaść większy nacisk niż na wagę. W r. 1927 w biegu Verbands Achter zwyciężyła osada Köllner Ruder Geselschaft, ważąca 608 kg., osady następne ważyły: II—602, III—625, IV—633. Najcięższa zatem osada przyszła ostatnia. Jeszcze wybitniej zaznaczyła się ta zasada w biegu „Kaiser Vierer“ w Grünau w b. r. Zwycięska osada Mainzer Ruder Verein ważyła 300 kg., II—307 kg., III — 312 kg., IV — 318 kg., V — 319 kg. Tutaj stosunek szybkości do wagi jest całkiem jasny. Można więc dojść da wniosku: im lżejsza osada tem szybsza. Znany trener wioślarski Georg Bathleman, przypisuje ludziom lżejszym specjalne zdolności wioślarskie, polegające na łatwości przyswojenia sobie dobrej techniki i stylu wiosłowania.

Ciekawie wypada porównanie wag osad polskich w ciągu ostatnich lat. Zasada podana uprzednio sprawdza się odrazu w r. 1925, od którego zaczniemy swoje spostrzeżenia. W biegu ósemek młodszych zwycięża „Tryton”—Poznań, osada waży 541 kg. drugim jest A. Z. S. Warszawa z wagą 580 kg. Osady startujące w Mistrzostwie czwórek są mniejwięcej tej samej wagi: A. Z. S. Warsz. 289 kg., Koło wioślarzy warsz. 292 kg., A. Z. S.—Poznań 280 kg. Natomiast w Mistrzostwie ósemek zwycięża osada prawie że najcięższa: AZS. Warsz. o wadze 577 kg., II—„Tryton” - Poznań waga 541 kg., III—WTW. 572 kg., IV—Koło WW. 589 kg. Jednak więc najcięższa osada jest najwolniejszą. W r. 1926 ósemki młodszych wygrywa BTW. osada ważąca 481 kg. przed WTW. waga 567 kg., a więc o 86 kg. więcej. Jedynki wygrywa najlżejszy ze startujących Długoszewski (62 kg.). Drugi — Naumienko waży 70 kg. W czwórkach o Mistrzostwo pierwsze przychodzi BTW. ważące 265 kg. przed Klubem wioślarskim z Poznania o wadze 290 kg., trzeci AZS.—Poznań waży 288 kg. Lecz nulla regula sine exceptiones — zasada zawiodła w biegu ósemek o Mistrzostwo, który wygrała znowu osada najcięższa: AZS. — Warsz. 576 kg., II—BTW. waży 526 kg., III—Klub wiośl. Poznań 550 kg., IV — „Tryton”—Poznań 544 kg., V—WTW. 578 kg., VI—Koło WW. 570 kg.

W roku bieżącym ósemki młodszych wygrywa Rendörtiszti Athletikai Club osadą ważącą 606 kg., a więc jak na stosunki polskie bardzo ciężką. WTW. waży tylko 583 kg., AZS. Warsz. 584 kg., BTW najlżejsze waży 488 kg. Jedynki wygrywa znowu najlżejszy Długoszewski 62 kg. Za nim przychodzą: Barwicki 85 kg., Naumienko 70 kg., Tilgner 82 kg., Bujwid 74 kg. Każdy z nich waży zatem znacznie więcej od pierwszego.

W większości cytowanych wypadków okazało się, że teorja Barthlemana, którą on zresztą udowadniał na przykładach osad niemieckich, znajduje swe uzasadnienie. W przykładach polskich należy zwrócić uwagę na różnice w stylu i technice wiosłowania, które często przyczyniają się do innego stanu rzeczy. Inaczej jest w Niemczech, gdzie styl jest wyrównany. Bathleman uczynił jeszcze jedno spostrzeżenie, które uzasadnia niejako dość przeciwną teorję. Oto twierdzi, że ludzie szczupli są niejako wynagradzani przez naturę na innem polu mianowicie w temperamencie i wytrzymałości, oraz zaciętości psychicznej, czego często brakuje ludziom o pierwszorzędnych warunkach fizycznych. Daje się to zwłaszcza odczuwać w zawodach, gdzie walka o pierwsze miejsce toczy się aż do celownika. Wtedy bowiem decyduje wysiłek woli, i właśnie zdolności do tego wysiłku posiadają ludzie szczupli znacznie więcej. Jest to szczegół bardzo ważny, zwłaszcza dla klubów prowincjonalnych, gdzie dobór ludzi pozostawia dużo do życzenia. Dotychczasowe poszukiwania za ludźmi silnymi i ciężkimi często zawodziły, teraz okazuje się, że warunki fizyczne można zastąpić innemi, a mianowicie techniką, stylem, wytrzymałością oraz talentem wioślarskim, a to wszystko znajdujemy znacznie łatwiej w wadze lekkiej niż ciężkiej.

Główną zatem uwagę należy poświęcić treningowi i usilnej pracy, a nie doborowi specjalnemu ludzi. Sama siła bez ochoty do pracy nie zrobi nic, a przysporzy tylko niespodzianek. Nie można zatem przeceniać wagi ciężkiej na niekorzyść lekkiej.

W. D.





Nagrody Bydgoskiego Towarzystwa Wioślarskiego, zdobyte w ciągu siedmioletniego istnienia klubu.
Fot. F. Piechocki.

LETNIA SIEDZIBA WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA WIOŚLARSKIEGO.

Rok 1927 w historji sportu stołecznego będzie posiadał specjalne znaczenie. Rok ten stanowi bowiem zwrotny punkt w pogoni sportu polskiego za kroczącym wciąż naprzód i naprzód Zachodem.

To specjalne, wyjątkowe znaczenie zawdzięcza rok 1927 temu, że jest rokiem poważnych inwestycyj sportowych, które stanowią conditio sine qua non nowoczesnego sportu. Niedawno święciliśmy otwarcie pięknego stadjonu AZS-u w parku Skaryszewskim, który będzie oparciem dla polskiej lekkiej atletyki. Tamże powstała pierwsza prowizoryczna pływalnia w Warszawie.

Polonja buduje swój stadjon na Żoliborzu. Miasto szykuje monumentalny, reprezentacyjny stadjon olimpijski w Szczęśliwicach. Wszędzie budowa, budowa...

W tyle za młodzieżą nie pozostaje najstarsze towarzystwo sportowe.

Oto 22 października r. b. Walne Zgromadzenie Warsz. Towarzystwa Wioślarskiego uchwaliło jednomyślnie budowę nowej przystani wioślarskiej.

Dotychczasowe urządzenia nie odpowiadały ani w części wysokiemu poziomowi sportowemu Towarzystwa.

Wystarczy obejrzeć przystanie klubów stołecznych, by stwierdzić, że żyjemy pod znakiem prowizorjum. Najpiękniejsza, wśród nich przystań WTW., dziś już nie wystarcza na pomieszczenie tysięcy członków klubu. Szczupłe, ciasne szatnie, prowizoryczne drewniane szopy na łodzie, nie chroniące cennego taboru od niebezpieczeństwa pożaru. Wszystko to domagało się nowych, poważnych inwestycyj, godnych reprezentacyjnego Towarzystwa stolicy.

Tymczasem wykonanie szerokich planów rozbudowy nie jest rzeczą łatwą. Sport wioślarski jest wybitnie deficytowym. Przystanie ani w części nie rentują się tak, jak to ma miejsce z boiskami piłkarskiemi, bieżniami lekkoatletycznemi czy pływalniami. Sporadycznie odbywane regaty, nie ściągają wielkich mas publiczności, dochód z nich zaledwie pokrywa koszty organizacji zawodów.

W obecnych ciężkich warunkach gospodarczych, przy ogólnej polityce oszczędnościowej zdobyć znaczne fundusze na budowę przystani jest bardzo trudno. Tem piękniejszy jest gest Walnego Zgromadzenia, które idąc w myśl tradycji WTW, postanowiło wybudować nową przystań własnemi środkami nie uciekając się do subwencyj rządowych, czy komunalnych.

W obecnych czasach, gdy wszystko ogląda się na skarb państwa, oczekując jałmużny, taki objaw zdrowej, męskiej dumy godzien jest specjalnego podkreślenia.

Koszt budowy, wynoszący paręset tysięcy złotych, pokryty będzie drogą pożyczki, zaciągniętej przez Towarzystwo w jednej z instytucyj kredytowych, prócz tego rozpisana będzie pożyczka wewnętrzna.

Lecz na tem nie kończą się wszystkie trudności.

Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie od szeregu lat nosiło się z myślą budowy monumentalnej przystani o szerokich architektonicznych założeniach. Niestety Magistrat stoł. m. Warszawy sprzeciwiał się kategorycznie budowie wszelkich poważniejszych objektów na obecnie przyznanych WTW. terenach, motywując to nieukończonemi planami regulacji wybrzeża.

Budynek wznoszony obecnie konstrukcji żelbetowej, składać się będzie z dwuch kondygnacyj. W podziemiu mieścić się będą pomieszczenia dla łodzi, warsztaty oraz basen zimowy wioślarski długości 12½ metra, przystosowany również do treningów pływackich. Nad tem mieścić się będą obszerne wygodne szatnie z natryskami oraz pokoje zarządu, kancelarje i t. d.

Całość pokryje płaski dach służący jednocześnie za taras. Stąd roztaczać się będzie piękny widok na Wisłę, pozwalający obserwowanie przebiegu regat.

Z chwilą powstania nowego gmachu znikną dzisiejsze drewniane baraki.

Budynek stanie pośrodku obecnego terenu. Na obszernym placu przed przystanią będzie się ogniskował ruch towarzyski klubu.

Rezygnując z wyłuszczonych wyżej powodów, z kosztownych założeń monumentalnych, projektodawca nowej przystani arch. Mikulski stworzył całość estetyczną, wygodną i celową.

Budowa przystani stanowić będzie cenną kartę w pięćdziesięcioletniej historji Towarzystwa i pięknie świadczy o jego energji, żywotności, oraz o owocnej pracy Zarządu z vice-prez. Michalskim na czele.

Z Klubu Żeglarskiego w Chojnicach.

Od dłuższego już czasu Klub Żeglarski w Chojnicach nosił się z zamiarem nabycia gruntu nad jeziorem Charzykowskiem, co uskuteczniono niedawno dzięki przychylnemu stanowisku p. Koppa, który sprzedał klubowi obszer 25-cio morgowy o wybrzeżu 500 metrów długości. Na terenie tym postanowiono wybudować nowoczesny lokal klubowy, obszerny zaś plac przeznaczyć na cele sportowe. Teren około 10-cio morgowy oddany będzie do użytku członków, chcących sobie pobudować wille.

Należy gorąco powitać inicjatywę klubu, który nie szczędzi trudu i grosza, aby na wybrzeżu modrego jeziora stworzyć Riwierę Pomorską o szerszym rozgłosie.



Sezon żeglarski na Wiśle trwa do późnej jesieni — zapaleni żeglarze Yacht-Klubu Polski korzystają z pogodnych dni listopadowych.

Fot. E. Jabłoński.

Piękne idylliczne położenie jak również wielki obszar lasów iglastych i stosunkowo tanie warunki życia nad jeziorem dają gwarancję, że owe miejsce będzie rozwijać się jako kąpielisko.

Dotychczas świetny rozwój klubu i powszechne zainteresowanie sportem wodnym dostatecznie wykazały potrzeby zakładów, któreby służyły zdromiu publicznemu.

Wioślarstwo w Poznaniu.

W niedzielę, 9 października r. b. odbyło się wspólne zamknięcie sezonu przy udziale wszystkich miejscowych towarzystw wioślarskich. Po wysłuchaniu uroczystej mszy św. celebrowanej w kościele Katarzynek przez ks. Piotrowskiego czynnego zwolennika wioślarstwa, odbyło się popołudniu na przystani Klubu Wioślarskiego z r. 1904 w obecności licznych gości z szeregów wioślarzy, uroczyste opuszczenie bander wszystkich towarzystw na znak oficjalnego zamknięcia sezonu przez dh. Przepiórę i wiceprezesa „Trytona". Następnie defilowały przed starszyzną wioślarską łodzie półwyścigowe wszelkiego typu oraz jedynki i dwójki na krótkie wiosła, czwórki i ósemki wyścigowe, wykazując iż w tegorocznym sezonie pozyskano sporą gromadę młodych adeptów wioślarstwa. W czasie skromnego przyjęcia delegatów na przystani gospodarzy na szczególne podkreślenie zasługuje harmonijne uzgodnienie zapatrywań na cały szereg zagadnień życia wioślarskiego. Oby wytrwała praca w sezonie zimowym zdobyła sobie należne miejsce na przyszłych regatach przedolimpijskich.

Z prawdziwą przyjemnością wypada stwierdzić, iż zarządy przezorniejszych towarzystw wioślarskich w Poznaniu już teraz przeprowadzają cały szereg zarządzeń, aby w okresie zimowym należycie poduczyć swych nowicjuszy i przeszkolić starszych wioślarzy. Pomijając wprowadzenie ulepszeń basenowych wskazujących chęć przeprowadzenia racjonalnych ćwiczeń wioślarskich szczególny nacisk kładzie się na uprawianie ćwiczeń dodatkowych oraz uzupełnienie wiadomości teoretycznych. Jeżeli nadto senjor miejscowego wioślarstwa Klub Wioślarski z r. 1904 nie cofnął się przed zakontraktowaniem już obecnie zawodowego trenera, może to być dowodem, iż ośrodek poznański będzie się starał, by „sen zimowy" spędzić pracowicie. Życzyć sobie tylko należy, aby działalność Komitetu Międzyklubowego, a raczej Komisji sportowej, uległa zasadniczej rewizji, aby zerwano wreszcie z przekonaniem, iż jednorazowe urządzenie „znojnej" imprezy sportowej uwalnia od wszechstronnej działalności przygotowaczej w okresie zimowym. W żadnym bowiem wypadku nie może tłumaczyć się przykładem z góry!

D. T.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU TOWARZYSTW WIOŚLARSKICH.

Do związku zapisuje się coraz więcej nowopowstających klubów, obecnie zgłosiły przystąpienie: Kaliskie Towarzystwo Wioślarek i Chełmżyńskie Tow. Wioślarskie.

WYCIECZKA JACHTEM „WITEŹ" DO ŁOTWY I SZWECJI

YACHT-KLUBU POLSKI.

Opis i fotografje D-ra F. Hłasko.

Rzadko kiedy bywam w złym humorze i tracę pogodę ducha, ale dnia 3 lipca 1927 roku siedziałem przygnębiony w swoim pokoju, bezmyślnie kreśląc rozmaite heroglify na kopercie, zawierającej fatalną dla mnie wiadomość od inżyniera Fiszera z Krakowa — kapitana jachtu Carmen, którego jestem współwłaścicielem, że w roku bieżącym z przyczyn niezależnych nie może brać udziału w żadnej wycieczce morskiej. Tożsamo dotyczyło reszty członków załogi, z którymi w roku zeszłym odbywałem na jachcie „Carmen" podróż do Norwegji. Wszystkie moje próby skompletowania innej załogi do dalszej podróży niepowiodły się, więc byłem niepocieszony, wzrok mój błądził po wiszących na ścianie zdjęciach fotograficznych z niezwykłą realnością przedstawiających walkę Carmeny z falami Skagerraku, a serce ścisnęło się boleśnie na myśl, że w tym roku nie będę miał, jak to mówi moja stryjenka takich szalonych okazyj do szukania śmierci. Urlop się zbliżał i co tu robić? Spojrzałem na wiszącą na wilczej skórze strzelbę — na wszelkie polowania jeszcze zawcześnie, chyba pojadę gdzie w góry, pomyślałem sobie, zatrzymując wzrok na wiszącym plecaku i wysokogórskim czekanie. Nagle rozmyślania te przerwał przykry, ostry dźwięk dzwonka telefonicznego, który się rozległ nad moim uchem. Zirytowany sięgnąłem po słuchawkę i słyszałem przyjemny głos:

— Czy mogę prosić Dr. Hłaskę?

— Proszę, jestem przy telefonie.

— Tu mówi generał Zaruski, — zwracam się do pana doktora z propozycją, czyby pan nie zechciał wziąć udziału w wycieczce, którą organizuję, pod banderą Yacht-Klubu Polski do Łotwy i Szwecji jachtem „Witeź"?

Zerwałem się na równe nogi, aż podłoga podemną jęknęła, mały zaś stoliczek stojący przedemną wywrócił się z łoskotem i odleciał na środek pokoju, oddech zaparło mi w piersiach. Wreszcie po paru sekundach wykrztusiłem:

— Dziękuję bardzo, panie generale, zawsze z największą przyjemnością.

— Czy mogę liczyć napewno?

— Tak jest panie generale.

— Dobrze, to będzie pan łaskaw zameldować się dnia 9-go w Gdyni, na pokładzie jachtu „Witeź" w pełnym rynsztunku, do dalekiej wycieczki jachtowej.

— Rozkaz, panie generale, parę słów pożegnania, telefon zamilkł.

Chwilę stałem jak oszołomiony, zdawało mi się, że to był sen, potem wielkiemi krokami zacząłem przechadzać się po pokoju, cały świat odrazu przedstawił mi się w innych barwach. A więc za tydzień na pokładzie ślicznego Witezia będę mógł się rzucić w objęcia spienionych fal i wichrów, będę mknął po stalowych grzbietach toni morskiej w nieznaną dal, będę znowu wolnym ptakiem na bezbrzeżnej przestrzeni wodnej, daleki od trosk codziennego życia — wspaniale.

W oznaczonym terminie kurjer Warszawa-Gdynia niósł mnie ku polskiemu morzu. W drodze poznałem przyszłego współtowarzysza podróży porucznika Laudańskiego. Nieznaliśmy się jeszcze— spotkaliśmy się w korytarzu wagonu i na pierwszy rzut oka wiedzieliśmy już, co mamy o sobie myśleć, przywitaliśmy się — i od tej chwili już byliśmy szczerymi przyjaciółmi.

Niejednokrotnie zadawano mi pytanie, jak się można puszczać na dalekie wycieczki, zwłaszcza jachtem, gdzie się całemi dniami siedzi prawie dosłownie jeden na drugim, z ludźmi, których się absolutnie nie zna. Rzecz prosta, ci którzy się na takiej łupince puszczają przez morza — należą do jednej kategorji ludzi — kochają przyrodę i uwielbiają morze ze wszystkiemi jego przejawami. Ludzie tacy mogą należeć do rozmaitych zawodów mogą być wręcz przeciwnych poglądów politycznych, na morzu jednak, gdy się spotkają, wszyscy będą zawsze stanowili jedną zwartą i nierozłączną całość, w której zawsze wszyscy będą stali za jednego, a jeden za wszystkich.

Tak też było na jachcie „Witeź".

Dnia 9 lipca „Witeź" wieczorem rozwinął żagle i prowadzony wprawną ręką naszego komandora — opuścił port w Gdyni — lekko jak strzała mknąc po spienionych falach Gdańskiej zatoki.

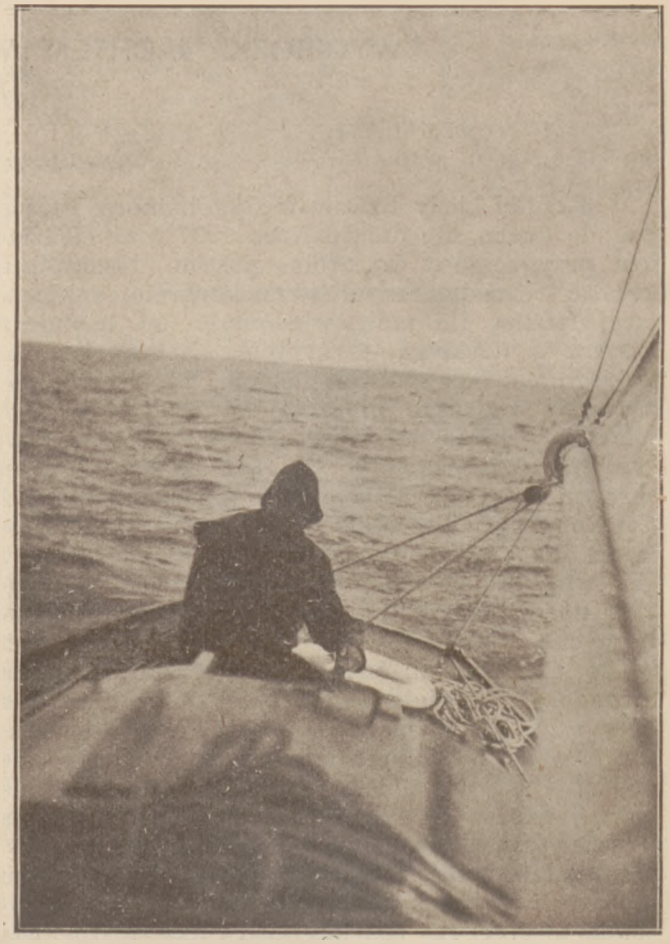
Wiatr o sile 6—7 wedle skali Beauforta kładzie nas całkiem na bok, potoki wody zalewają pokład, w twarz co chwilę uderza deszcz słonej wody. Mały nasz stateczek dzielnie walczy z falami, nie zważając na swe nadzwyczaj małe, jak dla mo-



Chwila wylądowania w Libawie

rza rozmiary. Liczy on bowiem 5,7 tonn pojemności, 12,5 mtr. długości i 2,7 szerokości, przy 6-ciu metrach zanurzenia i 75 m² powierzchni żagla o systemie ożaglowania Marconi'ego z masztem o wysokości 17 mtr. — O północy giną nam z oczu światła Helu — o świcie jesteśmy już na bezbrzeżnej przestrzeni wodnej. — Fala robi się coraz większa — „Witeź" to staje dęba, wylatując na grzbiet fali, to znów leci w przepaść. Purpurowe niebo zwiastuje wschód słońca, które niebawem wysuwa się z toni morskiej w postaci ogromnej spłaszczonej tarczy, która w pewnym momencie przyjmuje formę grzyba, a potem w postaci kuli wznosi się nad powierzchnią morza. Robimy zwrot i idziemy w kierunku na Brüsterort, którego latarnia morska wkrótce wynurza się nam z morza i około południa już wyraźnie widzimy brzeg. — Wiatr a zarazem i fala znacznie się zmniejszają — pogoda śliczna — wyciągamy na pokład przemoczone rzeczy, zmoczone w przeciągu nocy falami, suszymy je i z rozkoszą wyciągamy się na pokładzie. Znowu zmieniamy kurs i idziemy teraz wzdłuż lesistych brzegów Wschodnich Prus. Zahuczał prymus; dźwięk jego jakimś rozkosznym echem odbija się w naszych pustych żołądkach i rozbudza w nich słodkie marzenia o sztuce kulinarnej naszego gospodarza pana Zmigrodzkiego, a sztuka ta przyznać trzeba stała na szczycie swej doskonałości.

Do rzeczy niełatwych należy przygotowanie smacznego obiadu w zwykłej kuchni, gdzie wszystko stoi nieruchomo i podłoga się nie chwieje, a niechno tylko kto sprobuje przygotować pierwszorzędny obiad, składający się z trzech dań, nie licząc zakąski z rolmopsów, rozmaitych sosów i słodkiej potrawy, w warunkach, gdzie wszystko jest poniekąd nieuchwytne, gdzie naczynia kuchenne wyrabiają najdziksze pląsy, wobec których charleston jest niczem i gdzie podłoga wciąż przybiera najrozmaitsze pozycje ukośne — a czasem nawet i prostopadłe.

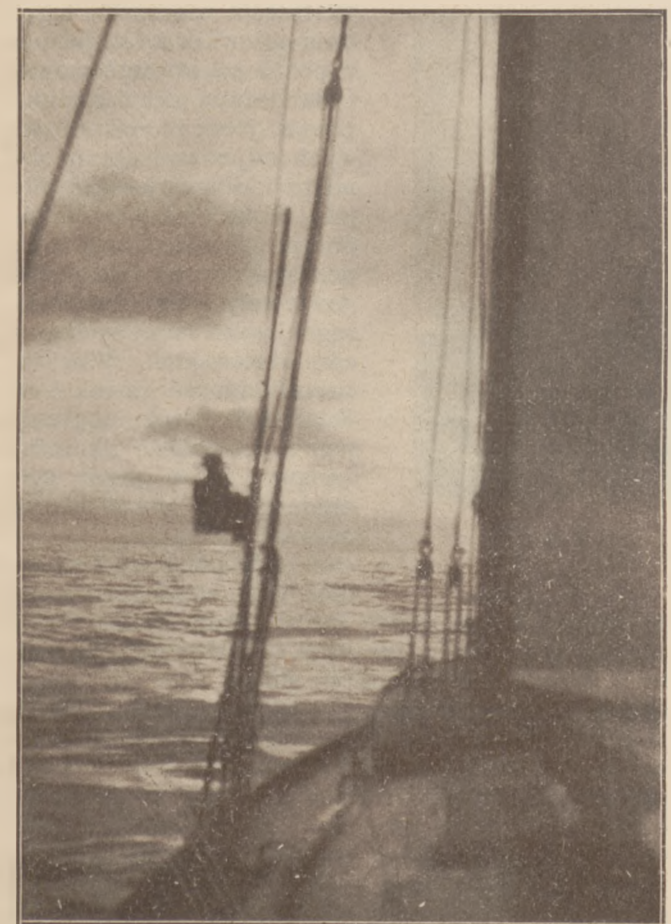


Dr. F. Hłasko u steru.

Wiatr słabnie coraz bardziej, zwolna przesuwa się koło nas pruski brzeg. Mijamy Kranz i Nidden. Zapada cicha, ciepła noc. Po kolacji gramofon gra szereg znanych melodyj — myśli nasze powracają do Polski, w pamięci powstają wspomnienia z lat minionych, — potem oficer nawigacyjny pan Kosko zamyka gramofon i na statku zapada cisza. Od czasu do czasu tylko na pokładzie rozlegają się kroki wachtowego, który sprawdza latarnie. O 12-ej zmiana wachty, — sternik zdaje raport swemu następcy, potem znowu zalega cisza, wśród której z czarnej czeluści kajuty wydobywa się potężne chrapanie poprzedniej wachty. Nad ranem minęliśmy litewsko-pruską granicę, a wieczorem znaleźliśmy się przed Kłajpedą. Podjechaliśmy zupełnie blisko do plaży, na której syreny i fauny litewskie ze zdziwieniem przyglądały się naszemu jachtowi i powiewającej na maszcie polskiej banderze. Niegościn-



Na pokładzie „Witezia".



Na wachcie — pierwsze promienie wschodzącego słońca.

nie zresztą, jak się to spodziewać należało, przyjął nas litewski brzeg. Po zachodzie słońca ujrzeliśmy bowiem na Kłajpedzkim maszcie sygnałowym dwa białe światła, jedno pod drugiem — oznacza to w języku locji sztorm od süd-west. Do Libawy nie mieliśmy żadnego portu do ukrycia się, sztorm zaś z tego kierunku gdyby nas złapał w nocy — mógł nas znieść na brzeg i rozstrzaskać. Zawijać jednak do Kłajpedy, bez nagłej potrzeby, nie chcieliśmy. Zrefowaliśmy więc żagle i lawirowaliśmy przed wejściem do portu aż do rana.

Noc jednak przeminęła całkiem spokojnie — o świcie zaś Litwini alarmujące światło zdjęli, nie zamieniając jednak go odpowiednim sygnałem dziennym. Posłaliśmy im marynarskie przekleństwo, za te niepotrzebne zawracanie nam głowy, rozwinęliśmy żagle i wyruszyliśmy w dalszą podróż. Wkrótce minęliśmy Połągę i zaczęliśmy coraz bardziej oddalać się od brzegu. Wiatr wciąż słabnął, aż wreszcie ucichł. Było duszno i parno, morze zrobiło się gładkie jak lustro. Około 6-ej po południu miałem wachtę. Wyszedłem na dziób i przyglądałem się jakimś dziwacznym kształtom brzegu, który ciemniał w dalekiej mgle. Oparty o fok, obserwowałem zjawisko, które wreszcie przybrało kształty nader wyraźne — widziałem przed soba Libawską latarnię morską, koło niej jakiś wiatrak i jezioro. Zameldowałem o tem komandorowi, który powiedział, że chyba po obiedzie mam źle w głowie, ponieważ do Libawy mamy jeszcze 80 mil morskich i o widzeniu latarni morskiej w obecnej chwili nie może być mowy. Okazało się, że padłem ofiarą mirażu. We wskazanym kierunku wogóle nie było lądu i to co widziałem — było t. zw. fata-morganą, czyli zjawiskiem mirażowem. Widzieliśmy już teraz wszyscy latarnię morską, wiatrak, kawałek jeziora, a dalej jakieś mgliste kontury brzegu, które istniały gdzieś daleko poza horyzontem. Nie przeszło pół godziny, a byliśmy ze wszystkich stron okrążeni najdziwaczniejszemi widziadłami. Za nami nad poziomem morza ujrzeliśmy siedmiokrotne odbicie kościołka w Połądze, obok niego wyrosła jakaś ogromna wieża, sięgająca pod obłoki po lewej burcie raptownie wynużył się z wody jakiś fantastyczny żaglowiec, po prawej stronie nad powierzchnią morza ukazały się prześliczne krajobrazy jezior, nad któremi stały wiatraki i pojedyńcze domki. Zjawiska te zniknęły dopiero po zachodzie słońca. O zmroku lekki wietrzyk szybko posuwał nas po gładkiej powierzchni morza w kierunku Libawy, a o północy ujrzeliśmy błysk, tym razem prawdziwy, latarni morskiej tego portu.

O 6-ej stanęliśmy nieruchomo o jakie pół mili od wejścia do Libawy i spoglądaliśmy na falochron portu i wieże miasta, nie mogąc się do nich przybliżyć. Wreszcie na pomoc nam przyszła łotewska łódź motorowa z kierownikiem warsztatów portowych inżynierem Kerpe, która nas wzięła



Dyrektor stoczni libawskiej inż. Kerpe, który wyjechał na pełne morze, na spotkanie „Witezia“, wraca na jego pokładzie.



Na Libawskiem jeziorze. Żaglówki Libawskiego Yacht-Klubu z członkami załogi „Witezia“.

na hol. Inżynier Kerpe przeszedł na pokład „Witezia“, i tak wjechaliśmy do portu.

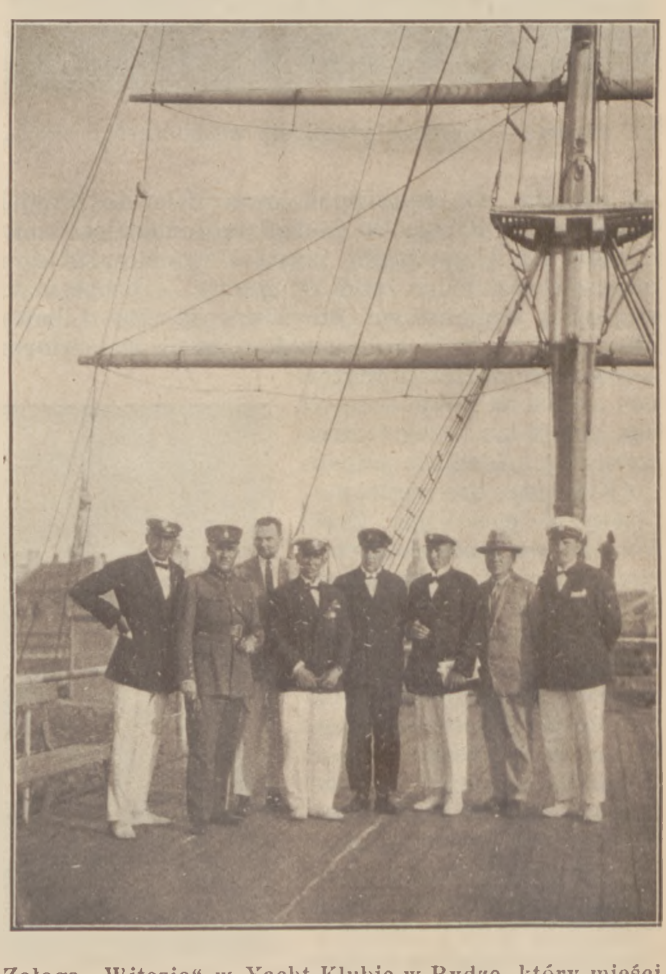
W Libawie spotkano nas nadzwyczaj gościnnie. Tegoż samego dnia w towarzystwie inżyniera Kerpe i głównodowodzącego sił zbrojnych okręgu libawskiego generała Krusting na małym parowcu pojechaliśmy oglądać port Libawy. W swoim czasie był to najruchliwszy port rosyjski na Bałtyku. Teraz świeci on pustkami i tylko potężne jego rozmiary i ogrom włożonej w jego budowę pracy— robią imponujące lecz zarazem przygnębiające wrażenie. Szczególnie powiedzieć to należy o porcie wojennym, gdzie ongiś stała potężna flota rosyjska, która pod dowództwem admirała Niebogatowa wyszła w podróż naokoło świata, aby zginąć w słynnej bitwie pod Czuszymą.

Wieczorem udaliśmy się z wizytą do Łotewskiego Yacht-Klubu, który ma swą siedzibę nad ślicznem i niezwykle malowniczem libawskiem jeziorem i użyliśmy przejażdżki po jeziorze z łotewskimi jachtsmenami na ich jachtach. Wielkie zainteresowanie budził w nas prezes Yacht-Klubu, stary wilk morski, który jako kapitan rosyjskiego statku transatlantyckiego stokilkadziesiąt razy przebył Atlantyk.

Następnego dnia z rana na brzegu koło „Witezia” czekał na nas samochód, którym pojechaliśmy zwiedzać stocznię, warsztaty i dawne fortyfikacje Libawy. Wieczorem Rada Miejska przyjmowała nas bankietem i dopiero późną nocą wróciliśmy na pokład „Witezia”, który stał nieruchomo w porcie jachtowym. Następnego dnia pojechaliśmy zwiedzać stolicę Łotwy. Starożytne to miasto, do którego tak często się mimowoli jeździ podczas podróży morskich, zrobiło na nas nadzwyczaj sympatyczne wrażenie. Szczególnie ładnie prezentuje się miasto od strony Dźwiny. Łodzią motorową pojechaliśmy do ryskiego Yacht-Klubu, który mieści się na starym żaglowcu, specjalnie na ten cel przebudowanym.

Po tylu dniach oficjalnych wizyt i zwiedzaniu miast, tęskno nam już było do morza, to też z rozkoszą wdychaliśmy znowu jego świeże powietrze, a wieczorem tegoż dnia holownik wyciągał nas z portu na otwarte morze. Cała flotylla jachtów, motorówek, jolek i łodzi wiosłowych odprowadzała nas z portu i długo jeszcze gdy już „Witeź” mknął pod naporem świeżego wiatru, z pozostałych w tyle łodzi powiewały czapki i chustki, żegnających nas sportowców łotewskich. Wkrótce zaczął zapadać zmrok i na dalekim horyzoncie ginęły nam z oczu wieże i kominy Libawy, która przez tyle dni tak przyjaźnie nas przyjmowała.

Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca trysnęły z za morskich fal, dookoła „Witezia” już nigdzie nie było widać lądu i na bezbrzeżnej wodnej przestrzeni samotnie sunął ku szwedzkim brzegom biały żagiel pod polską banderą. Miałem wachtę i siedziałem przy sterze. Z jakąś niewysłowioną rozkoszą odczuwałem ten fakt, że jak okiem sięgnąć nikogo poza nami na morzu nie



Załoga „Witezia“ w Yacht-Klubie w Rydze, który mieści się na żaglowcu. W środku gen. Zaruski i prezes łotewskiego Yacht-Klubu.

było. Zupełnie jakgdyby oprócz „Witezia” i jego załogi, więcej żywych istot nie było na świecie. Miałem złudzenie, że znajdujemy się na bezludnej, zalanej wodą planecie. Byliśmy zupełnie sami. To jest dopiero prawdziwy odpoczynek od pracy zawodowej, pomyślałem sobie, wobec którego schować się mogą wszystkie najbardziej luksusowe i gwarne letniska. Niestety jednak tak mało ludzi to rozumie. Przez cały dzień „Witeź” szybko mknął w poprzek Bałtyku, mając pomyślny, boczny wiatr, idąc przez cały czas prawym halsem. Pod wieczór wysunął się przed nami z wody wysoki, skalisty, południowy cypel szwedzkiej wyspy Gotland, noszący nazwę Hoborg. Zdaleka robi on wrażenie potężnego, średniowiecznego zamku. W pobliżu Hoborgu morze obfituje w liczne rafy i mielizny i dlatego omijać go należy dużym łukiem na południe. Z tego względu zmuszeni byliśmy zmienić kurs i lawirować pod wiatr. Zaczął zapadać zmrok. Po prawej burcie zabłysła latarnia



Ryga widziana z jachtu. Na I-ym planie stary zamek.



Pożegnanie szwedzkiego brzegu.

morska Hoborgu, nad nami zaś zawisła ciężka, fjoletowa chmura, nierokująca nic dobrego. Daleko przed nami zajaśniało światło wyjącej boji oznaczającej koniec rafy podwodnej, ciągnącej się od przylądka Hoborg. Sytuacja jak na sztorm, którego spodziewaliśmy się lada chwila z lewej burty, nie była nader korzystną ze względu na bliskość lądu i podwodnych raf. Ledwo zdążyliśmy wypełnić rozkaz komandora — refować żagle i przygotować pasy ratunkowe, jak zaczęło się piekło. Podmuchy wiatru stawały się coraz groźniejsze i pomimo prawie całkiem zrefowanych żagli, kładły „Witezia” zupełnie na bok. Zrobiło się tak ciemno, że nic dokoła nie było widać, światła zaś wyspy Gotland raptownie zniknęły, za czarną zasłoną.

Pierwszy oślepiający nas wszystkich piorun rozdarł ciężkie powłoki chmur, zawtórował mu głuchy, jakgdyby z głębin morskich wydobywający się grzmot. W parę minut potem błysnął drugi, zanim trzeci piorun, potem zdawało się nam, że niebo bez przerwy jaśnieje oślepiającemi zygzakami w najrozmaitszych kierunkach, przecinających czarną noc. Wycie wiatru w takielunku, łoskot przewalających się przez burtę fal i nieprzerwany grzmot, wszystko to zlewało się w jakąś straszliwą symfonję. Lunął deszcz o tak niepohamowanej sile, że poprostu przytłaczał nas do pokładu, o orjentowaniu się zaś w kierunku przy takich warunkach, było prawie niemożliwością, tembardziej, że wiatr co chwila zmieniał kierunek.

Byliśmy przygotowani na to, że lada chwila sztorm roztrzaska nas o jakąś podwodną skałę, których dużo było w tej okolicy.

Około godziny burza szalała z niepohamowaną wściekłością, potem wszystko zaczęło się uspakajać. Deszcz ustał i niebo się rozjaśniło. Ujrzeliśmy znowu światło latarni morskiej Hoborg i boji na morzu tylko w znacznie większej odległości od siebie. Udało się nam zatem pomimo wszystko oddalić się od niebezpiecznego sąsiedztwa lądu i raf i byliśmy daleko na otwartem morzu. Zabraliśmy się więc do pompowania wody, której

pomimo wszelkiej ostrożności sporo nabrało się do kajuty. Zdjęliśmy z siebie ciężkie ceratowe płaszcze, które niestety nie zdołały stawić czoła podobnej ulewie i dowiodły nam raz jeszcze, że jednak najbardziej nieprzemakalną jest własna skóra.

Ponieważ wiatr prawie zupełnie ustał i niebo się wypogodziło, odrefowaliśmy przemoczone żagle i wolno posuwaliśmy się naprzód, wziąwszy kurs na majaczące przed nami światełko boji. O świcie przeszliśmy trawers przylądka Hoborg, w godzinę zaś potem zmieniliśmy kurs w kierunku zachodniego brzegu wyspy, idąc ku malowniczej, lesistej zatoce, nad którą leży miasteczko Burgswig. Około południa, już prawie przy absolutnej ciszy zarzuciliśmy cumy na molo tego małego portu.

Byliśmy zatem w Szwecji. Pierwszą żyjącą istotą na wyspie, która się zainteresowała naszym przybyciem — był biały szpic naczelnika portu. Zaraz po naszem wylądowaniu zjawił się on na molo, uważnie przyjrzał się nam wszystkim, potem okiem znawcy długo przypatrywał się pokładowi „Witezia", zerknął w górę na powiewającą flagę, potem wolno oddalił się z miną podwładnego, który udaje się do swego szefa z raportem. Po upływie godziny, gdy już prawie całe molo było zatarasowane naszemi mokremi rzeczami, zjawił się sam naczelnik portu. Zaprosiliśmy go do ogołoconej z miękich rzeczy kajut i tam długo gawędziliśmy — trochę po niemiecku, trochę po angielsku — przeważnie zaś na migi. Po południu nadaliśmy w języku polskim z urzędu telegraficznego depeszę do Yacht-Klubu w Warszawie. Wiele to nas kosztowało mimiki, trudów i gestykulacyj, o tem chyba nie potrzebuję mówić, jednak koniec końcem dopięliśmy swego i komandor Yacht-Klubu Aleksandrowicz otrzymał depeszę w języku polskim z portu Burgswig, słynnego na cały świat z wywozu kamieni młyńskich.

Następnego dnia z rana pojechałem kolejką, przecinającą wzdłuż całą wyspę na północny jej kraniec do odległego o 60 kilometrów od Burgswig miasta portowego Wisbi. Starożytne to miasto, założone przez piratów podobno w VIII wieku przedstawia swą całością poprostu historyczne muzeum. Stare warowne mury, doskonale utrzymane, dotychczas okalają całe miasto. Potężne baszty i bramy wjazdowe, małe domki z przed kilkuset lat, wąskie uliczki, wszystko to tchnie średniowieczem i przenosi człowieka w czasy znane obecnie tylko z historji. I gdy tak samotnie błądziłem pomiędzy temi staremi murami i przechodziłem koło domków, okna których sięgały mnie do kolan, niejednokrotnie miałem wrażenie że znajduje się wśród dekoracyj teatralnych. Urok tego oryginalnego miasteczka każdemu pozostanie w pamięci na całe życie, kto choć raz do niego zawitał.



Bankiet, wydany na cześć załogi „Witezia" przez Radę Miejską w Libawie.

Niestety urlopy wszystkim nam się już kończyły i po trzydniowym pobycie zmuszeni byliśmy opuścić wyspę Gotland i wziąć kurs z powrotem na Hel.

Wiatr mieliśmy o zmiennej sile i kierunku, to też często zmuszeni byliśmy zmieniać kurs i z tego powodu dopiero na trzeci dzień około południa wynurzyła się przed nami z wody latarnia morska Jastarni. Wieczorem zaś o zachodzie słońca — po ominięciu cypla Helu, stanęliśmy nieruchomo na wodach zatoki, na której panowała absolutna cisza. Czuliśmy, że jesteśmy u siebie w domu i zabraliśmy się do sporządzenia odpowiedniej kolacji.

Zebraliśmy się wszyscy w kajucie i wesoło gawędząc, spożywaliśmy obfite resztki zapasów „Witezia". Na pokładzie pozostał jedynie sternik, trzymając niedbale pod pachą ster i skupiając całą swą uwagę na ogromnym talerzu z kompotem, który spoczywał na jego kolanach. „Witeź" zaś stał nieruchomy na gładkiej, lustrzanej powierzchni zatoki. W tem stało się coś niesamowitego. W kajucie cała zastawa stołu jakgdyby jednym susem znalazła się na kolanach, siedzących po jednej stronie biesiadników. Rzeczy, które leżały na półkach po jednej stronie kajuty zaczęły się gwałtownie ponad głowami siedzących przenosić na przeciwległą półkę, sprzęty zaś niedbale pozostawione na pokładzie w postaci ręczników, części garderoby, kubków, brzytew i innych rzeczy, jak na komendę dały szczupaka do wody, najdalej zaś z nich wyleciała biała czapka komandora. „Witeź" niespodzianie pchnięty potężnym podmuchem wiatru położył się prawie całkiem na wodę. Na pokładzie zrobił się gorączkowy ruch, podczas którego jednak sternik nie wypuścił z rąk talerza z kompotem. W parę minut żagle były zrefowane, a „Witeź", jak oszalały, pędził przez Pucką zatokę. Załoga wzięła się do oczyszczania kajut z resztek kolacji i rozbitych naczyń. Na tem się skończyła ta miła wycieczka która pozostanie na zawsze w pamięci. O świcie 24-go lipca w Gdyni zwinęliśmy żagle, wieczorem zaś tego samego dnia, po marynarsku uścisnąwszy sobie dłonie, rozjechaliśmy się w rozmaitych kierunkach, wracając każdy do swej pracy zawodowej.

Dr. F. Hłasko.

TRENING ZIMOWY PŁYWAKA.

Sprawa treningu zimowego pływaków jest specjalnie ważna u nas, gdzie tylko dwa środowiska, Kraków i Katowice, posiadają zimową pływalnię. Bez pływalni bowiem można trenować również, jednak jest to znacznie trudniejsze i wymaga umiejętnego dobierania ćwiczeń, któreby odpowiednio przygotowywały nasze mięśnie, serce i płuca. Ta „sucha" zaprawa ma ogromne znaczenie i jeżeli jest dobrze prowadzona, może w znacznej mierze zastąpić pływanie w hali. Nader wymownym będzie tu przykład Belga Van Parysa, który nie mając u siebie w Gandawie pływalni zimowej, stał się w 17-tym roku życia rekordzistą świata na 400 m. stylem klasycznym. Doszedł do tego dzięki „suchemu" przygotowaniu i pływaniu w ciągu lata. Nie będzie wielkiej przesady, jeżeli powiemy, że brak krytych basenów powstrzymuje rozwój sportu pływackiego głównie dlatego, że pływakom nie chce się zimą pracować w sali. Pływacy nasi, stając wobec konieczności „suchych" ćwiczeń, odrazu nie mają na nie czasu, i muszą zimę poświęcać swym zajęciom osobistym. Gdyby natomiast mieli możność pływania w ciepłej wodzie — czas znalazłby się natychmiast.

Z drugiej strony, trening zimowy pływaka, posiadającego pływalnię, też musi być prowadzony umiejętnie. Nie wystarczy mieć pływalnię, by zaraz być mistrzem. W tym roku na mistrzostwach Polski zwyciężali na całej linji pływacy warszawscy i górnoślązaczka Kajzerówna, którzy treningu zimowego nie przechodzili.

Treningiem zimowym w pływalni kierować muszą dwie kardynalne zasady:

1) Pływanie zimowe traktowane być musi jako środek pomocniczy utrzymywania się w formie, musi być zużywane na naukę stylu i na stałe oswajanie się z wodą, podczas gdy do wyrobienia mięśni musi prowadzić odpowiednia gimnastyka. Pływanie musi być przeplatane innemi sportami, najlepiej sportami zimowemi, gdyż całoroczna monotonja ćwiczeń jest dla organizmu bezwzględnie niewskazana.

2) Pływanie w ciągu zimy powinno być traktowane jako zaprawa, jako przygotowywanie się do ostrego treningu zawodniczego, a nie jako trening zawodniczy bezpośredni. Jeżeli zaś urządza się zawody poważniejsze w zimie, trzeba robić to tak, by organizm miał dostateczne okresy wypoczynkowe jesienią i wiosną, między kampanją zawodniczą letnią i zimową.

Zagadnienie kalendarza sportowego jest nadzwyczaj ważne. Nie można od organizmu wymagać, aby był w formie sportowej przez cały rok. U nas, jak dotąd, pływacy przymusowo musieli robić sobie okresy wypoczynkowe. Ale przykłady lekceważenia tej zasady mieliśmy bardzo dobre między lekkoatletami. Widzieliśmy regularnie, że biegacze, którzy odnosili jedno zwycięstwo po drugiem na wiosnę, schodzili zawsze na plan drugi w ciągu lata, mimo największych wysiłków zmierzających do utrzymania formy. Równie jaskrawy przykład dał nam ubiegły sezon lekkoatletyczny, kiedy sztucznie go wyciągnięto dając pierwsze zawody międzypaństwowe w kwietniu. mistrzostwa w lipcu, a ostatni mecz z Czechosłowacją 18 września. Rezultat był ten, że zawodnicy byli w dobrej formie tylko w środku sezonu, a w spotkaniach krańcowych wykazali formę wyjątkowo słabą. A przecież starali się ją utrzymać tylko przez 6 miesięcy z rzędu. Gdyby pływak, mając krytą halę, usiłował przez rok okrągły znajdować się w najlepszej kondycji, nie osiągnąłby żadnego innego wyniku, jak tylko przetrenowanie.

W zależności od tego, czy mamy możność i czy chcemy urządzać zimą zawody pływackie, czy też nie, możemy ułożyć sobie kalendarz sportowy jednosezonowy lub dwusezonowy. W pierwszym stajemy do zawodów tylko latem, w drugim i latem i zimą.

Schemat kalendarza dwusezonowego, dostosowanego do naszych warunków, w tych środowiskach, w których mamy pływalnie zimowe przedstawiałby się jak następuje:

Jesień. Październik. Pełny odpoczynek po pracowitym sezonie letnim. Lekka gimnastyka dla utrzymania elastyczności mięśni.

Listopad. Stałe wzmaganie intensywności ćwiczeń gimnastycznych. Ćwiczenia stylu w pływalni.

Grudzień. Gimnastyka intensywna, lub początki ćwiczeń w sportach zimowych (narciarstwo, łyżwiarstwo, hokej), nauka stylu w basenie, nie więcej jak 2—4 razy na tydzień (oczywiście w inne dni, niż ćwiczenia w sportach zimowych).

Styczeń. Trening zawodniczy pływacki. W końcu stycznia zawody. Sporty zimowe uprawiane poważnie, kolidować będą oczywiście z treningem zawodniczym w pływaniu, tembardziej, że uprawiane są zwykle w innych miejscowościach.

Luty. Dochodzenie do najwyższej formy w pływaniu. Najważniejsze zawody sezonu zimowego na koniec lutego.

Marzec. Zakończenie zawodów pływackich. Stałe łagodne opadanie w formie.

Kwiecień. Odpoczynek prawie całkowity. Lekkie ćwiczenia gimnastyczne dla rozmiękczenia („assouplissement") mięśni.

Maj. Intensywniejsze ćwiczenia gimnastyczne. Powrót do pływania, bądź w basenie, bądź na otwartej wodzie, jeżeli jest ciepła.

Czerwiec. Wzmaganie intensywności ćwiczeń gimnastycznych. Trening zawodniczy w pływaniu. Do zawodów mogą stawać w tym okresie ci zawodnicy, którzy styl opanowali już w poprzednim sezonie i przypomnieli go sobie w ciągu maja. Zawodnicy, którzy naukę stylu sportowego rozpoczęli dopiero w danym roku, w czerwcu do zawodów nie powinni jeszcze stawać, gdyż wtedy zazwyczaj albo stosują stary, zły styl, który mają zarzucić, albo nie uzyskując powodzenia przez stosowanie nowego stylu, zniechęcają się do niego.

Lipiec. Coraz intensywniejszy trening zawodniczy. Zawody powinny mieć miejsce nie zbyt często, by zbytnio nie przerywać normalnego toku przygotowań do okresu „wielkiej formy", jakim jest z natury rzeczy sierpień, miesiąc mistrzostw krajowych, mistrzostw Europy, Igrzysk Olimpijskich, itd.

Sierpień. Okres najpoważniejszych zawodów w sezonie. Mogą one wypadać choćby co tydzień, o ile dany zawodnik nie staje do zbyt wielu punktów. W okresie tym, intensywnym treningiem są same zawody (zwykle w niedzielę), i jedna mocniejsza próba w środku ty-

godnia, zwykle stosowana, jako eksperyment przed zawodami. Resztę tygodnia poświęcić należy niemęczącym ćwiczeniom stylu, starając się jednocześnie o odpoczynek psychiczny. Okres ten należy możliwie połączyć z urlopem w pracach zawodowych.

Zawody co niedziela bowiem, połączone z ciężką pracą w ciągu tygodnia, zwłaszcza, jeżeli do tego dochodzą podróże, odbywane u nas zwykle nocą i III klasą— wszystko to razem będzie zawodnika zbytnio wyczerpywać. W okresie tym też należy się wystrzegać zbytecznego „pływania na czas". Jeżeli kluby są zmuszone przed wystawianiem swych reprezentacyjnych sztafet robić wewnętrzną eliminację, niechaj czynią to oględnie, wyłączając od niej zawodników zbytnio przeciążonych. Pamiętać przytem trzeba, że zawodnik, który doszedł do formy, potrzebuje minimalnej już pracy, by w formie tej utrzymać się kilka tygodni. Natomiast dalsza praca intensywna wywołuje przetrenowanie.

Wrzesień. Stopniowe opadanie w formie. Przejście do okresu wypoczynku jesiennego.

To był system dwusezonowy. Przy systemie jednosezonowym, do powyższego rozkładu dojdą te zmiany, że w okresie zimowym odpadną wszelkie zawody pływackie i intensywny do nich trening. Zastąpią je lekkie, 2 — 3 razy w tygodniu prowadzone ćwiczenia stylu w pływaniu, przy jednoczesnem oddawaniu się sportom zimowym. Jeżeli natomiast chcemy na jakiś czas poświęcić się całkowicie sportom zimowym i np. wyjeżdżamy w góry, możemy przerwać na ten czas zupełnie pływanie, bez jakiejkolwiek obawy, by mogło to zaszkodzić naszej formie pływackiej na sezon następny. Wręcz przeciwnie, taka zmiana trybu ćwiczeń, może organizmowi wyjść tylko na dobre, wzmacnia nas bowiem fizycznie, a co za tem idzie, czyni nas zdolniejszymi do intensywnego treningu pływackiego w ciągu lata. Jeżeli trenujemy porządnie na lodzie lub śniegu — wystarczy nam dbać tylko o to w ciągu zimy, by nie zapomnieć stylu i nie zatracać oswojenia się z wodą. Jeżeli mamy do swej dyspozycji choćby basenik, w którym nie można nawet pływać — należy go jednak wyzyskać do ćwiczeń crawlowych ruchów nóg (trzymając się rękami barjery) lub ruchów rąk (stojąc na dnie). Pływania natomiast w wodzie lodowatej, w żadnym razie nie można traktować jako zaprawę sportową. W tej temperaturze bowiem, mięśnie sztywnieją i wykonywane przez nie ruchy mogą nas jedynie oduczyć prawidłowego stylu.

Jeżeli nie mamy zupełnie możności pływania w zimie — musimy zastosososwać powyższy kalendarz z tem tylko, że ćwiczenia stylu w pływalni zastąpimy ćwiczeniami gimnastycznemi uelastyczniającemi mięśnie.

Można stosować również system jednosezonowy pełny, t. zn. ograniczać się do startowania w zawodach tylko latem w pływaniu, i zaniechać startowania w zimie nawet w sportach zimowych. Wtedy jednak prowadzić należy intensywniejszą zimową zaprawę gimnastyczną, doprowadzając ją do kulminacyjnego punktu tak samo na styczeń-luty.

W braku możności jeżdżenia na nartach czy na łyżwach, trzeba uprawiać chody i biegi naprzełaj. Jest to koniecznem dla uzyskania wytrzymałości płuc i serca. Tego nie dadzą nam ćwiczenia gimnastyczne, mające za zadanie jedynie przygotowanie mięśni. Błędem zasadniczym jednak będzie bieganie naprzełaj bezpośrednio po sezonie pływackim (w październiku), albo bezpośrednio przed sezonem (w kwietniu i maju), kiedy należy wypoczywać. W okresach tych, zaprawa musi być lekka. Ponieważ u nas jednak sezon biegów naprzełaj wypada właśnie w tych okresach w których pływak powinien odpoczywać, musi on nie zwracać uwagi na lekkoatletów, dla których sezon jest inaczej rozłożony i biegać zimą. Jeżeli zima jest tak surowa, że nie pozwala na biegi naprzełaj — idealnem ćwiczeniem będą chody, które są podstawą świetnej formy zawodników fińskich. Należy być do nich ciepło ubranym, uprawiać je 2 do 3 razy na tydzień, zwiększając stopniowo dystans od 2-ch do jakich 10 kilometrów. Chody, jako ćwiczenia mięśni, bardzo zbliżone są do narciarstwa, które jednocześnie znakomicie rozwija nogi i ręce.

Musimy przejść z kolei do omówienia, jakiemi mają być ćwiczenia gimnastyczne dla pływaka.

Zadaniem ich jest rozwinięcie mieśniowe zawodnika słabo rozwiniętego i nadania jaknajwiększej sprawności (elastyczności) mięśniom zawodnika wyrobionego już dobrze. W pierwszym rzędzie więc, należy zalecić wszelkie ćwiczenia bokserskie, które bodajże najlepiej formują człowieka mięśniowo, kładąc szczególny nacisk na takie rzeczy, jak rzucanie ciężką piłką nabitą włosiem (medicine ball). Szczególnie godną zalecenia jest także gimnastyką duńska Buckh'a, jako zwiększająca wydajność pracy mięśnia. Przy doborze ćwiczeń pamiętać zawsze trzeba i o tem, że pływak musi mieć mięśnie bardzo elastyczne i ruchy bardzo miękkie.

Oprócz ćwiczeń ogólnych, istnieją ćwiczenia specjalnie dla pływaka wskazane. Do tych należy w pierwszym rzędzie wyrabianie giętkości kręgosłupa. Łagodne wygięcie krzyża, uzyskiwane bez najmniejszego wysiłku, jako jego naturalna pozycja, jest pierwszym warunkiem należytego ułożenia się na wodzie do crawla. W parze z tem iść będą ćwiczenia, nadające udom zdolność do odchylania się w tył bez wysiłku. Posiadanie tej zdolności jest konieczne dla miękkiego wykonywania crawlowych uderzeń nóg na wodzie. Niemniej ważnem jest wyrobienie elastyczności stopy, aby można ją było trzymać wyciągniętą, bez wysiłku i bez naprężania mięśni nogi. Wreszcie jako specjalne ćwiczenia gimnastyczne pływaka wykonywać należy, stojąc w pozycji nieco schylonej, ruchy rąk, analogicznie do crawlowych. Wykonywać je trzeba długo i miękko, nie zaś siłowo.

Pozatem wszystkiem, stosować trzeba jeszcze jako naczelną zasadę treningu zimowego prowadzenie higienicznego pod każdym względem trybu życia. Tych szkód bowiem, jakie wyrządzi organizmowi życie niehigieniczne w ciągu zimy, nie odrobi latem t. zw. sportowa asceza, polegająca na gwałtownem pozbywaniu się wszelkich szkodliwych przyzwyczajeń. Zawodnik, który robi zimą różne nadużycia w stosunku do organizmu, przeważnie w zakresie alkoholu i nikotyny, i który gwałtownie je przerywa dopiero z chwilą przystąpienia do ostrego treningu na wodzie czy na boisku, przypomina nam ucznia, zaczynającego się uczyć na godzinę przed egzaminem.

T. Semadeni.

KRONIKA ZAGRANICZNA PŁYWACKA.

Zarząd F. I. N. A. składający się 5 osób różnych narodowości, obradował w październiku w Amsterdamie, zapoznając się na miejscu z przygotowaniami technicznemi Holenderskiego Komitetu Olimpijskiego do Igrzysk, które w zakresie pływania odbędą się między 4 a 11 sierpnia r. p. Dwa posiedzenia Kongresu F. I. N. A. wyznaczono na 2 i 13 sierpnia. Kongres ten będzie miał za zadanie m. i. przyjęcie formalne szeregu nowych przepisów opracowanych przez brytyjski „International Water-Polo Board", stanowiący instancję miarodajną w kwestjach samych przepisów gry w piłkę wodną.

Na Kongresie tym zapowiedział swą rezygnację p. G. W. Hearn (Anglja), który od lat 20, t. j. od założenia F. I. N. A. był jej honorowym sekretarzem-skarbnikiem. To samo zapowiedział prezes F. I. N. A.. P. Bergval (Szwecja). Zmiany na tych dwu stanowiskach, i przybycie do Zarządu F. I. N. A. nowych młodszych sił, są zapowiedzią pozbycia się przez tę instytucję dotychczasowej ociężałości i bezczynności.

Zarząd F. I. N. A. rozpatrywał sprawę definicji amatora, i postanowił jednogłośnie kategorycznie zaprotestować przeciwko decyzji międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, który zgadza się na to, by amatorom można było wypłacać odszkodowania za utracone zarobki. Wobec tej różnicy zdań między M. K. O. a Federacją Pływacką, wyjaśniono, że dla pływaków mających startować w Igrzyskach Olimpijskich, nadal jedyną obowiązującą jest definicja amatora w brzmieniu przepisów F. I. N. A.

Zatwierdzono następujące rekordy światowe: Arne Borg 300 y. 3:16,7 i 300 m. 3:33,5 uzyskane jeszcze w październiku roku zeszłego w Sztokholmie. Następnie zatwierdzono boloński rekord Borga na 1600 m. (19:07,2) i rekord Holenderki Den Turk na 100 m. nawznak (1:22). Niemożliwem było na razie uznać rekordy Dunki Jacobsen na 100 m. i 200 m. st. klas. z powodu nieotrzymania protokułu. Również cała długa lista rekordów amerykańskich, wśród których najwięcej należy do Marty Norelius, nie zostało jeszcze zgłoszonych do F. I. N. A., gdyż muszą one uprzednio być zatwierdzone przez Amerykańską Amateur Athletic Union, która rekordy zatwierdza tylko raz do roku w listopadzie.

F. I. N. A. odrzuciła holenderskie propozycje zmiany programu minutowego Igrzysk Olimpijskich, który ustalony jest raz na zawsze, i zmianom podlegać nie może. Natomiast Zarząd musiał przyjąć do wiadomości, że wobec zakazu władz rządowych, w niedzielę rano żadne zawody nie będą mogły się odbywać. Wobec tego ranny i popołudniowy program niedzielny zostanie odbyty podczas jednego seansu, co oczywiście będzie uciążliwe dla zawodników.

Panna Cochrane-Logan, jak wiadomo nabrała cały świat sportowy ogłaszając, że przepłynęła La Manche w rekordowym czasie, i następnie skoro tylko wypłacono jej nagrodę 1000 funtów sterlingów, wiadomość tę odwołała i pieniądze zwróciła, tłumacząc swą mistyfikację chęcią przekonania sfer sportowych, jak łatwo jest tu o udane oszustwo. Mimo takiego stanowiska, które stwierdziło niezbicie, że Dr. Cochrane-Logane zrobiła tę demonstrację bynajmniej nie w chęci zysku, została ona skazana przez sąd na grzywnę 110 funtów, t. j. około 5000 zł., trener jej zaś, który był jej wspólnikiem, na 55 funtów. Największą urazę czują jednak do Miss Logan wszyscy dotychczasowi zdobywcy Kanału, gdyż fala sceptycyzmu jaka obecnie powiała, postawiła wszystkie ostatnie, tak liczne zwycięstwa nad „Channel'em" pod znakiem zapytania. Sytuację komplikuje fakt, że zarówno Francuski jak i Angielski Związek Pływacki odmówiły kategorycznie kontrolowania ataków na La Manche, uważając, że są to przedsięwzięcia niesportowe, których jedynemi celami są zysk i sensacja.

Świetny rekord francuski na 100 m. ustanowił w Algierze Pierre Lapalud, uzyskując czas 1:03,8. Gdyby wynik ten był zupełnie ścisły, Lapalud, sądząc według czasów mistrzostw Europy, byłby po Arne Borgu i Baranym naszybszym dziś pływakiem Starego Świata.

Urugwaj przystąpił do Międzynarodowej Federacji Pływackiej, której jest 34-tym z kolei członkiem. F.I.N.A. jest więc, po Federacji Piłkarskiej, najpotężniejszym związkiem międzynarodowym.

Puhar im. G. W. Hearna. Na cześć ustępującego sekretarza i twórcy F. I. N. A. Hearna, Zarząd Federacji postanowił nazwać jego imieniem puhar, jaki ofiarowany zostanie dla drużyny zwycięskiej w „międzykontynentalnym" wyścigu sztafet między reprezentacjami Europy i Ameryki. Jak wiadomo, wyścig na dystansie 4 x 200 m. stylem dowolnym, odbędzie się po zakończeniu Igrzysk Olimpijskich. Będzie to widowisko wprost wspaniałe, gdyż zobaczymy walkę 8 najlepszych dwustumetrowców świata, z Weissmullerem i Arne Borgiem na czele, broniących barw swej części świata.

Mistrzostwa Skandynawskie, rozegrane bez udziału Arne Borga, przyniosły zwycięstwo Szwecji (45 p.) przed Danją (29 p.), Finlandją (25 p.) i Norwegją (22). Dunka Elsa Jacobsen pobiła rekord światowy na 200 m. st. klas. uzyskując czas 3:16,6.

Olimpijski Stadjon pływacki w Amsterdamie nie będzie budowlą tak wspaniałą, jak paryska „Piscine des Tourelles" lub boloński „Littoriale", przynajmniej w pierwszym roku. Trybuny bowiem będą początkowo drewniane. Basen sam mierzyć będzie 50 m. na 18, i zaopatrzony będzie we wszelkie konieczne urządzenia.

Najbardziej charakterystycznem jest jednak to, że prace nad tą budowlą jeszcze nie zostały rozpoczęte!

Mistrzostwa Szwecji przyniosły wyniki następujące: 4 x 100 m. st. dow. „Stockholm Kapsimning Klub" 4:26 (z Arne Borgiem). Skoki z trampoliny: Oberg. 500 m. st. dowol. Arne Borg 7:02,2, przed Gustavsonem (7:02,6). Jak widać, Arne zadowolił się tylko zwycięstwem, nie starając się o czas. 100 m st. dow. pań: Everlund 1:18,4 przed Berg (1:19,6). 200 m. klas. panów: Harling 3:03,2 przed Wissnell'em (3:04,9). 400 m. klas. panów: Harling 6:38,9, Wissnel 6:41,2. 100 m. nawznak Johansson (1:18,2) przed Landrothem (1:25,3). 200 m. dowol. panów: Arne Borg, 2:28,4 przed Gustavsonem (2:29,8). 100 m. dow.: Arne Borg 1:04,3, przed Wernerem 1:05,2. 1500 m. dow.: Arne Borg 23:07,2 (!) przed Gustavsonem (23:17,1). Finał water-polo: S. K. K. — Neptun 9:1.

Hiszpanja. Nowy rekord hiszpański na 100 m. st. klas. ustanowił Abenys 1:27,2. W water-polo mistrz Węgier F. T. C. pokonał C. N. Barcelona 7:0 (2:0).

MISTRZOSTWO JEDYNEK.

We wrześniu r. b. rozegrano dwa bardzo ważne matche skulerskie. Jeden to Holland Beker w Amsterdamie, drugi to Mistrzostwo Sekwany w Courbevoie-Asnieres.

Holland Beker był rozgrywany do r. 1913 jako Mistrzostwo Holandji. W r. 1913 został przekształcony na wielki międzynarodowy bieg jedynek, gromadzący na starcie rok rocznie najpoważniejsze siły tak Holandji, jak i innych krajów, przeważnie jednak tylko północnych. Początkowo rozgrywano tylko bieg jedynek, potem stopniowo dodawano dwójki podwójne, jedynki junjorów i nowicjuszy, ósemki bez ograniczeń, czwórki, nowicjuszy i junjorów wreszcie dwójki na dwa długie wiosła bez sternika. Regaty te szczególnie pilnie obsyłają Niemcy, szukając pierwszorzędnych spotkań przed Igrzyskami Olimpijskiemi. W roku bieżącym startowali: Bruno Koblo Berliner R. G. Wiking w jedynkach o Holland Beker oraz razem z d-rem Vogtmanem na dwójce podwójnej, dalej: Rutkowski i Penner z Hamburger Renngemeinschaft na dwójce podwójnej, i Berliner Ruderklub Hellas swoją mistrzowską parą Müller—Moeschter na dwójce bez sternika. Można powiedzieć, że powiodło się im bardzo dobrze. Koblo, po zjechaniu walkover toru w przedbiegu, w półfinale eliminuje mistrza Holandji Trompa (czwarty w Como), a w finale spotyka się z zeszłorocznym zwycięzcą tego biegu Guntherem z „de Amstel". Na starcie wysunął się Gunther początkowo o pół długości, około 800 m. prowadził o dwie długości, do 1000 m. Koblo wyrównał, poczem znowu Gunther wysunął się o pół długości. Tymczasem jednak Koblo zaczął walkę na serjo, dosuwając się do Holendra, który zupełnie osłabł. Znakomity finisch decyduje o zwycięstwie Niemca w doskonałym czasie 6:04, (1635 m.). Berlińska Hellas wygrała swój bieg przeciwko R. V. Amstel Amsterdam w czasie 6:49·3, de Amstel 6:58. W dwójkach podwójnych Niemcy byli zmuszeni w przedbiegu walczyć ze sobą, przyczem zeszłoroczni zwycięzcy Rutkowski i Penner zostali wyeliminowani przez Koblo i Vogtmana, czas pierwszych 6:12, drugich 6:20. W finale para Berlińszyków pokonała parę z De Hoop w czasie 6:28·6. Reszta biegów była wewnętrzną konkurencją holenderską i zgromadziła tylko drugorzędne siły.

Bardziej interesującemi były zawody o Mistrzostwo Sekwany, rozgrywane po raz 59. Bieg ten również pierwszorzędnej wartości, wygrał w roku 1925 Dr. Rieder, z Club de l.Aviron Vevey, kilkakrotny Mistrz Europy na double scull. W r. 1926 uległ bardzo nieznacznie Mistrzowi Anglji Colletowi. W roku bieżącym konkurencja zapowiadała się niezmiernie interesująco. Zgłosili swój udział: mistz Anglji Collet, mistrz Belgji Vintens, mistrz Francji Vaucher, b. mistrz Francji Lancelot, Dr. Rieder, oraz szereg pierwszorzędnych skulistów francuskich. Ze zgłoszonych tylko Vintens zawiódł. Przedbiegi odbyły się w dniu zawodów rano.

1. Przedbieg: 1) Collet, czas 6:24. 2) Lancelot, czas 6:27. 3) Rousseau, czas 6:42, wyeliminowany.

2. Przedbieg: 1) Saurin, (Soc. Naut. Lagny) czas 6:08·6. 2. Rieder, czas 6:12. 3. Gatineau, czas 6:18·6, wyeliminowany.

3. Przedbieg: 1) Vaucher, czas 6:10·6. 2) Hansotte, czas 6:14. 3) de Balague, czas 6:52·8, wyeliminowany.

Ciekawem jest, że w przedbiegach Francuzi ustanawiali znacznie lepsze czasy od Colleta. Popołudniowy finał przyniósł następujące wyniki:

1. Collet, Leander Club Londyn, czas 5:57·4.
2. Saurin, Societe Nautique de Lagny, czas 6.03.
3. Hansotte, Societe Nautique de la Marne, czas 6:04·4.
4. Lancelot, Rowing Club de Paris, o 1/4 długości.
5. Rieder z Club de l'Aviron Vevey, o 4 długości.
6. Vaucher, Rowing Club Chalon, przestał wiosłować na 1000 m.

Od startu prowadził Collet nie niepokojony przez nikogo aż do mety. Saurin toczył zaciętą walkę o drugie miejsce z Hansotte, podobnie Lancelot z Riederem o czwarte. Mistrz Francji Vaucher wycofał się z biegu na skutek przeforsowania prawej ręki. Rieder według oceny fachowców wyglądał na bardzo przetrenowanego. Zwycięzca był bezkonkurencyjny, jednakowoż co do stylu stawiają mu zarzuty, twierdząc, że znacznie lepiej wiosłował Beresford, gdy był w formie. Mimo to jednak łódź idzie doskonale i szybko, jak zresztą świadczą o tem jego wyniki.

W innych konkurencjach startowali jedynie Francuzi i Belgowie. Ci —ostatni wygrali jedynki junjorów przez A. Mengé ze Sport Nautique Bruges, oraz double scull junjorów osadą z tego samego klubu: A. Mengé—A. Houpelyne. Ta sama osada zajęła drugie miejsce w biegu senjorów za parą francuską Saurin — Lecuirot.

W. D.

Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 300, 1/2 strony zł. 155, 1/4 str. 80, 1/8 strony zł. 45.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI, WARSZAWA, KOSZYKOWA 7. — TEL. 250-85.
Prenumerata roczna zł. 20. Kwartalna zł. 5.
Rękopisów nie zwraca się. **Konto w P. K. O. Nr. 6013.**

REDAKTOR i WYDAWCA: *MIECZYSŁAW MAJCHER.*

Drukarnia: Piotr Pyz i S-ka, Warszawa, Miodowa 8. Tel. 74-09.